

PRZYJACIEL DZIECI

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE.

N^o 26.

Warszawa, 18 (30) czerwca 1894 roku.

ROK XXXIV.

Juliusz Verne.

NADZWYCZAJNE PRZYGODY PANA ANTIFERA.

Przekład B. K.

(Dalszy ciąg).

Pan Antifer skończył się ubierać i już brał za kapelusz, gdy we drzwiach ukazała się Nanon.

— Czego chcesz? zapytał brat.

— Jakiś cudzoziemiec czeka na dole i pragnie się z tobą zobaczyć.

— Jego nazwisko?

— Oto jest.

I Nanon podała bilet wizytowy, na którym były skreślone następujące wyrazy:

„Ben-Omar, notaryusz w Aleksandryi.”

— On! zawołał pan Antifer.

— Kto? zapytał Gildas Trégomain.

— Omar, o którym ci mówiłem! Ah! jakto dobrze, że sam przychodzi do mnie. To dobry znak!... Przyprowadź go tutaj, Nanon.

— On nie jest sam...

— Nie jest sam? podchwycił z żywością pan Antifer. A któż z nim przyszedł?

— Jakiś młodszy od niego mężczyzna, którego nie znam również i który wygląda także na cudzoziemca.

— Więc ich jest dwóch?... Nō, to i my we dwóch ich przyjmie-my!.. Zostań ze mną, mój przyjacielu!

— Jakto?... Chciał-bys...

Pan Antifer rozkazującym gestem nakazał przyjacielowi posłuszeństwo, a Trégomain nie śmiał się już poruszyć ze swego miejsca.

— Przyprowadź ich, rzekł Antifer do siostry.

W kilka minut później goście weszli do pokoju, którego drzwi zamknięto starannie. Tajemnica, o jakiej mieli mówić, mogłaby tylko ulecieć przez dziurkę od klucza.

— Ah! to pan, panie Ben-Omar, zaczął pan Antifer swobodnym, a nawet nieco pogardliwym tonem, którego nie byłby użył z pewnością, gdyby był poszedł pierwszy do hotelu de l'Union.

— Tak, to ja, panie Antiferze, odpowiedział Ben-Omar.

— A któż jest ten pan, który ci towarzyszy?

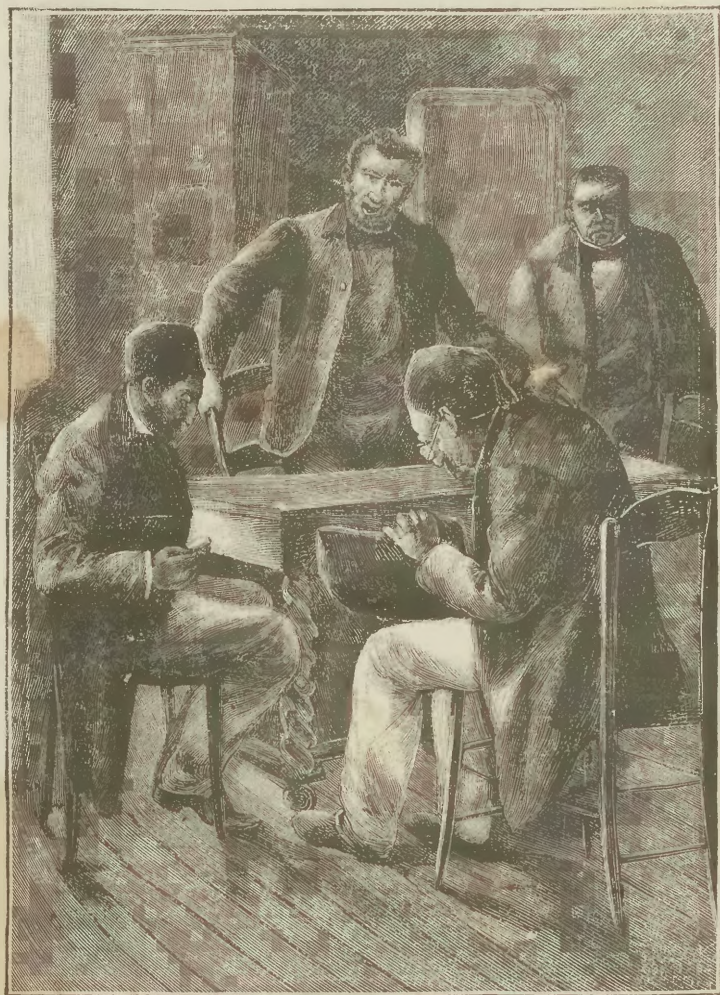
— To mój pierwszy dependent.

Pan Antifer i Sauk, który został przedstawiony pod nazwiskiem Nazima, spojrzeli na siebie dość obojętnie.

— Czy dependent pana wtajemniczony jest w tę sprawę? zapytał Antifer.

— Tak, i obecność jego jest mi potrzebna przy przebiegu tej sprawy.

— Niech i tak będzie, panie Ben-Omar. Czy mi pan powie, czemu



Sauk zaczął uderzać nogą w podłogę i spojrzał na zegarek... (Str. 303.)

mam zawdzięczać zaszczyt, że widzę pana w moim domu?

— Chciałbym pomówić jeszcze z panem, panie Antiferze... ale tylko z panem samym, dodał, spoglądając z ukosa na Gildas Trégomain, który siedział milczący, robiąc palcami młynka.

— Gildas Trégomain, mój przyjaciel, przedstawił pan Antifer, były właściciel statku „*Piękna Amelia*”; on wie także o całej tej sprawie, a obecność jego jest dla mnie równie niezbędna, jak dla pana dependenta Nazima.

Był to argument, na który Ben-Omar nie mógł znaleźć żadnej przeczącej odpowiedzi.

Wtedy wszyscy czterej zasiedli przy stole, na którym notaryusz położył swoją tekę. Cisza zaległa pokój, obecni spoglądali na siebie, czekając, któremu przyjdzie ochota rozpocząć rozmowę.

Wreszcie pan Antifer przerwał milczenie i rzekł, zwracając się do Ben-Omara:

— Spodziewam się, że pański dependent mówi po francusku?

— Nie, odparł notaryusz.

— No to przynajmniej rozumie język francuski?

— I to nie.

Sauk i Ben-Omar postanowili między sobą, że fałszywy Nazim udawać będzie, iż nie rozumie po francusku, mieli bowiem nadzieję, że pan Antifer wygada się z czemś, z czego oni będą mogli skorzystać.

— Mów pan więc, panie Ben-Omar, odezwał się swobodnie pan Antifer. Czy masz pan ochotę rozpocząć rozmowę od tego miejsca, gdzie przerwaliśmy ją wczoraj?

— Bez wątpienia.

— A zatem przynosisz mi pan pięćdziesiąt milionów?

— Mówmy poważnie, panie Antiferze...

— Tak, mówmy poważnie, panie Ben-Omar. Mój przyjaciel Trégomain nie należy do liczby tych ludzi, którzyby chcieli tracić czas na bezużyteczne żarty. Nieprawdaż, Trégomain?

Nigdy Trégomain nie miał jeszcze tak poważnej i uroczystej miny, jak w tej chwili. Na znak przyzwolenia podniósł kraciatą chustkę do twarzy i utarł nos z hałasem, podobnym do dźwięku trąb.

— Panie Ben-Omar, zaczął znowu pan Antifer, przybierając minę poważną i obojętny ton głosu, lękam się, że pomiędzy nami zaszło nieporozumienie... musimy je więc wyjaśnić, bo inaczej nie dojdziemy do niczego. Pan wiesz, kim ja jestem, a ja wiem, kim pan jesteś.

— Notaryuszem...

— Tak, notaryuszem, ale zarazem posłem nieboszczyka Kamylik-Paszy, którego przybycia rodzina moja oczekuje od lat dwudziestu.

— Przepraszam, pana, panie Antiferze, ale przypuszczając nawet, że tak jest w istocie, nie było mi wolno przybyć wcześniej....

— Dlaczego?

— Gdyż wiem dopiero od dwóch tygodni, to jest od chwili otwarcia testamentu, w jakich warunkach ojciec pański odebrał ten list.

— Ah! list, podpisany podwójną literą K?... Wracamy zatem do tego, panie Ben-Omar?

— Nie inaczej, jedyną bowiem moją myślą, udając się do Saint-Malo, było, aby przedstawić koniecznie...

— Zatem jedynie w tym celu przedsięwziąłeś pan tę podróż?

— Tak jest, panie Antiferze.

Przez cały czas powyższej rozmowy Sauk siedział obojętny, jak gdyby nie rozumiał ani słówka. Odgrywał swoją rolę tak naturalnie, że Gildas Trégomain, przypatrujący mu się uważnie z pod oka, nie dostrzegł nic podejrzanego w jego zachowaniu się.

— Panie Ben-Omar, odezwał się pan Antifer, ja mam dla pana jak najgłębszy szacunek i wiesz pan, że nie powiedziałbym panu żadnego ubliżającego wyrazu....

Powiedział to z tak głębokim przekonaniem, że niktby go nie posądził o to, iż nie dalej, jak wczoraj, nazwał Ben-Omara oszustem, mumią i krokodylem.

— Jednakże, dodał po krótkiej przerwie, nie mogę się powstrzymać od powiedzenia panu, żeś skłamał....

— Panie!...

— Tak... skłamałeś, jak szafarz okrętowy, kiedy twierdziłeś, że twoja podróż to tylko miała na celu, aby się dowiedzieć o tym liście....

— Przysięgam panu, zaczął notaryusz, wznosząc ręce do góry.

— Przestańmy odgrywać komedię, panie Ben-Omar! zawołał pan Antifer, który wbrew wszelkim pięknym postanowieniom zaczął się już zapalać. Ja wiem doskonale, w jakim celu pan przyjechałeś.

— Wierz mi pan....

— I od kogo jesteś pan przysłany....

— Od nikogo, upewniam pana....

— Przeciwnie, przybywasz pan ze strony nieboszczyka Kamylik-Paszy....

— Przecież on umarł przed laty dziesięciu!

— To nic nie znaczy! Przybyłeś pan tu, aby spełnić ostatnią wolę Kamylik-Paszy i dlatego jesteś dziś u Piotra-Servan-Malo Antifera, syna Tomasza Antifera, od którego miałeś rozkaz nie żądać bynajmniej wydania owego listu, lecz powiadomić go o czterech cyfrach.

— O czterech cyfrach?

— Tak, o czterech cyfrach długości geograficznej, której mu potrzeba do uzupełnienia geograficznej szerokości, o jakiej wiadomość przesłał Kamylik-Pasza przed laty dwudziestu jego zasnemu ojcu.

— Ślicznie odpowiedziałeś, dodał spokojnie Trégomain, rozwijając swoją olbrzymią chustkę, jak flagę, którą dawał znaki nadbrzeżnym latarniom.

Mniemany dependent zachowywał się ciągle z jednakową obojętnością, chociaż przekonał się z rozmowy, że pan Antifer posiadał dokładne wiadomości.

— Pan, panie Ben-Omar, chciałeś zamienić nasze role i usiłowałeś ukraść mi wiadomość o szerokości geograficznej. — Ukraść?!

— Tak, ukraść i zrobić z niej użytek, który prawnie mnie się tylko należy!

— Panie Antiferze, podjął z pomieszczeniem Ben-Omar, wierz mi, że... gdybyś mi był oddał ten list, byłbym panu zaraz wyjawiał te cyfry....

— A zatem przyznajesz się pan, że je posiadasz?

Tak przyparty do muru notaryusz, chociaż wyćwiczony w rozmaitych wykrętach, zrozumiał, że przeciwnik zyskuje nad nim przewagę i że lepiej się poddać, tak jak to wczoraj postanowili uczynić z Saukiem.

To też gdy pan Antifer mu powiedział:

— Grajmy w grę odkrytą, panie Ben-Omar, już dość nakręciliśmy się po różnych krętych ścieżkach, Ben-Omar odpowiedział:

— I owszem.

— Otworzył tekę i wyjął z niej ćwiartkę pergaminu, na której widać było pismo, pewną nakreślone ręką.

Był to testament Kamylik-Paszy, napisany, jak wiemy, w języku francuskim. Pan Antifer dowiedział się wkrótce o jego treści. Przeczytawszy go uważnie od początku do końca, głośno i dobitnie, tak, aby Gildas Trégomain nie stracił ani słówka, wyjął z kieszeni książeczkę notatkową, aby w niej wpisać cyfry, określające długość geograficzną, pod jaką znajdowała się wysepka, te cztery cyfry, o które tak mu bardzo chodziło. Potem, jak gdyby się znajdował na swoim kupieckim statku i brał wymiar na mapie, zawołał:

— Uważaj, Trégomain!

— Uważam! powtórzył Gildas Trégomain, który także wyjął z kieszeni notatnik.

— Naznacz!

Nie potrzebujemy dodawać, z jaką dokładnością została oznaczona ta pożądana długość geograficzna: 54 stopnie 57 minut na wschód od południka paryskiego.

Pergamin wrócił wtedy do rąk notaryusza, który schował go do teki i oddał mniemanemu dependentowi Nazimowi. Nazim zdawał się tak obojętny na wszystko, jak Hebrajczyk z czasów Abrahama, któryby się znalazł nagle wpośród zgromadzenia francuskiej Akademii.

Jednakże rozmowa doszła do punkta, zaciekawiającego najbardziej Ben-Omara i Sauka.

Pan Antifer, wiedząc o południku i linii równoległej wysepki, potrzebował tylko połączyć te dwie linie na mapie, aby dojść, gdzie znajduje się wysepka. Naturalnie, że pilno mu było dokonać tej pracy; podniósł się więc i z półukłonem, w którego znaczeniu nie można się było pomylić, a potem ukazał gościom drzwi, zachęcając ich do odejścia.

Trégomain spoglądał z uśmiechem zadowolenia na Antifera. Ale ani notaryusz, ani Nazim nie mieli zamiaru wstać z krzeseł, chociaż widocznie gospodarz pragnął ich się pozbyć. Może go nie zrozumieli, a może nie chcieli zrozumieć. Ben-Omar był bardzo pomięszany, zrozumiał jednak spojrzenie Sauka, które mu nakazywało zadać jeszcze jedno pytanie.

Musiał go posłuchać, rzekł więc:

— Teraz, kiedy spełniłem polecenie, do jakiego zobowiązałem mnie testament Kamyłk-Paszy....

— Nie pozostaje nam nic innego, jak pożegnać się nawzajem bardzo grzecznie, dokończył pan Antifer, a że najbliższy pociąg odchodzi o godzinie dziesiątej minut trzydzięści siedem....

— O dziesiątej minut dwadzieścia trzy od dnia wczorajszego, poprawił Gildas Trégomain.

— A tak, rzeczywiście o dziesiątej minut dwadzieścia trzy, odpowiedział pan Antifer, nie chciałbym, mój drogi panie Ben-Omar, narazić cię, jak również twego dependenta Nazima, abyście się mieli spóźnić na ten pociąg....

Sauk zaczął niecierpliwie uderzać nogą w podłogę i spojrzał na zegarek, jak gdyby się zaniepokoił chwilą blizkiego wyjazdu.

— Jeżeli macie panowie ze sobą jakie pakunki, mówił dalej pan Antifer, zaledwie starczy wam czasu na wybranie się....

— Tem bardziej, że na tutejszej stacyi wielkie są utrudnienia, dodał Trégomain.

Ben-Omar zdobył się wreszcie na odpowiedź i, podnosząc się nieco z krzesła, rzekł:

— Przepraszam, ale zdaje mi się, żeśmy sobie jeszcze nie wszystko powiedzieli....

— Przeciwnie, wszystko, panie Ben-Omar, co do mnie, nie potrzebuję się już o nic pana pytać.

— Ale ja muszę panu zadać jeszcze jedno pytanie, panie Antifer....

— Dziwi mnie to bardzo, panie Ben-Omar, ale pytaj pan, jeśli uważasz to za właściwe.

— Wyjawiłem panu cyfry, dotyczące geograficznej długości, wskazanej w testamencie Kamyłk-Paszy.

— Tak jest; ja i mój przyjaciel Trégomain zapisaliśmy te cyfry w naszych notatnikach.

— Widziałem to; lecz pan ze swojej strony powinienes mi wyjawic cyfry szerokości geograficznej, które są zapisane w liście....

— W liście, przysłanym pod adresem mego ojca?

— Tak jest.

— Przepraszam pana, panie Ben-Omar, odpowiedział pan Antifer, marszcząc brwi, czy miałeś pan polecenie wyjawic mi cyfry długości geograficznej?

— Miałem i zdaje mi się, że spełniłem to polecenie.

— Z dobrą wolą i gorliwością, muszę to przyznać. Ale co do mnie, nie przeczytałem tego nigdzie, ani w testamencie, ani w liście, że mam wyjawic komukolwiek cyfry szerokości geograficznej, o których wiadomość przesłana została mojemu ojcu.

— Jednakże....

— Jednakże, jeśli pan masz udzielić mi w tym przedmiocie jakich objaśnień, możemy jeszcze porozmawiać....

— Zdaje mi się, przerwał notaryusz, że pomiędzy ludźmi, którzy się wzajemnie szanują....

— Żle się panu zdaje, panie Ben-Omar. Szacunek nie ma tu nic do tego, jeżeli rzeczywiście mamy go nawzajem dla siebie.

(Dalszy ciąg nastąpi).

POGADANKI Z DZIEDZINY GEOGRAFII FIZYCZNEJ.

X.

Krążenie wody na lądzie. Gdzie się podziwiera deszcz.

Wiemy już, że z każdej wody, znajdującej się na powierzchni kuli ziemskiej, ciągle ulatuje para w powietrze; że ta para zgęszcza się i ukazuje się nam w postaci widzialnej, jako rosa, mgła, albo obłok; że przy dalszem zgęszczeniu z obłoków tworzy się deszcz, śnieg, grad albo krupa i że tym sposobem woda, uniesiona z powierzchni lądu w kształcie pary, napowrót wraca na ziemię. Tym sposobem powstaje ustawiczne krążenie wody z dołu do góry i z góry na dół, to jest od lądu w powietrze i z powietrza do lądu. Krążenie to jest tak samo koniecznem dla istnienia na ziemi istot żyjących, jak koniecznem jest krążenie krwi w naszym ciele, dla utrzymania w niem życia. Mięsza ono ze sobą i obmywa warstwy powietrza, splukując zawarte w nich nieczystości, jak na przykład dymy, unoszące się z kominów miejskich; zwilża i odżywia rolę i przez to czyni ją zdolną do utrzymywania na sobie roślinności; zasycza źródła, strumienie i rzeki; jednym słowem jest główną sprężyną wszelkiego życia na ziemi.

Tak ważna część maszyneryi świata ziemskiego zasługuje na baczną naszą uwagę. Zobaczmy naprzód, co się

staje z deszczem i śniegiem po ich spadnięciu z powietrza na ziemię.

Woda z jednej strony ustawicznie paruje z powierzchni ziemi, z drugiej ustawicznie zgęszcza się w powietrzu i powraca na ziemię. Doświadczenie dowodzi, że w naszych morzach, jeziorach i rzekach ilość wody w ciągu długiego szeregu lat nie wzrasta, ani się widocznie nie zmniejsza, skąd widać, że obie te sprawy parowania i zgęszczania się wody równoważą się nawzajem.

Jednakże widoczną jest rzeczą, że nie wszystka woda, spadająca na ziemię w postaci deszczu albo śniegu, od razu zamienia się znowu na parę. Po ulewnym deszczu drogi nie obsychają natychmiast po jego ustaniu. A jeśli ulewa trwała przez kilka godzin bez przerwy, to czasem cała okolica bywa zalana, i woda pozostaje na jej powierzchni przez kilka dni po jej ustaniu. Pewna część spadłej wody niknie nam następnie z oczu, skutkiem parowania, ale wielka jej część znika innym sposobem z powierzchni ziemi.

Ponieważ powierzchnia morza jest około trzech razy większą, niż lądu, przeto ilość padającego na nią deszczu,

stanowi niezawodnie największą część całkowitej ilości deszczu, spadającego na powierzchnię kuli ziemskiej. Ten ogromny opad deszczowy wynagradza morzu tę stratę, którą ono ponosi ciągle przez parowanie. A jestto strata bardzo wielka, bo na olbrzymiej powierzchni morza ulatnia się ciągle wielka ilość wody i stądto głównie pochodzi para wodna, znajdującą się w atmosferze.

Ale i na powierzchnię suchego lądu spada także bardzo wielka ilość wody deszczowej. Wystawcie sobie skrzynię, której długość, szerokość i wysokość wynoszą po jednej

wiorście; objętość jej będzie wynosić jedną wiorstę sześcienną. Otóż na samą tylko Wielką Brytanię spada corocznie około 231 takich skrzyń, czyli wiorst sześciennych wody! A przecież Wielka Brytania nie należy bynajmniej do krajów najbardziej dżdżystych. W niektórych okolicach Indostanu spada w ciągu roku tak wielka ilość wody deszczowej, że gdyby wszystka ta woda pozostała na tej powierzchni, na którą spadła, to pokryłaby ziemię warstwą, mającą 41 stóp głębokości, taką, jak wysokość trzechpiętrowej kamienicy.

WEDŁUG A. GEIKIE W. Skłodowski.

(Dokończenie nastąpi).

Ksiądz Jakób Falkowski.

Figlując, nieraz zatykacie sobie uszy lub udajecie niemych, lecz gdyby wam na kilka godzin za pomocą sztucznego przyrządu zamknięto narząd słuchu lub nakazano milczenie, uważalibyście to za bardzo surową karę i z radością powitali chwilę, w której dozwoliliby wam słyszeć i mówić.

Dla człowieka głuchoniemego świat jest jakoby ruchomym obrazem, którego piękność podziwiać może, lecz trudno mu zrozumieć, co się koło niego dzieje; niepodobna bowiem z samych gestów i ruchów dowiedzieć się o myślach i życzeniach człowieka. Dzieci głuchonieme, nie tylko nie słyszy głosu kochających go rodziców, rodzeństwa, śpiewu ptasząt, harmonijnych dźwięków muzyki (a zatem pozbawione jest wielu przyjemności) lecz nie wie czego od niego żądamy. Jakże mu wykazać, co czynić ma, a czego zaniechać, skoro nas nie rozumie? Prawda, że kochający rodzice samym wzrokiem i wskazywaniem dają do zrozumienia nieszczęśliwej, głuchoniemej dźwignie czego wymagają, lecz jakże to niedostateczne!

Wskazanie palcem lub wzrokiem nie objaśnia jeszcze, czy rzecz pewną ma wziąć, przynieść, posunąć, stąd też częste zachodzą nieporozumienia; a również dzieci, nie mogąc wyrazić swego życzenia, czy chce na przykład wyjść na przechadzkę, pozostać w domu, zając się lub bawić, niecierpliwi się, że go nie pojmują. Rodzice nie rozumieją dzieci, dzieci rodziców, obie strony się zniechęcają, a tak brak słuchu i mowy wpływa na zбочenie charakteru. Gorzej się dzieje, jeśli rodzicami dzieci są ludzie niezamożni, którzy nie mogą ustawicznie niemi się zajmować, wówczas bowiem dzieci głuchonieme ulegają złemu przykładowi innych dzieci obdarzonych słuchem i mową.

O zaiste, nieszczęśliwe, bardzo nieszczęśliwe są dzieci głuchonieme, wymagają znacznie pilniejszej opieki niż dziatki, posiadające wszystkie zmysły.

Od dawna już ubolewano nad niemi, starając się im przywrócić słuch i mowę, lecz używano do tego środków niewłaściwych: golono im głowy, podcinano język, raniono uszy i innych również bezskutecznych używano sposobów. Po długich bezowocnych usiłowaniach przekonano się

wreszcie, że jeśli nie można uleczyć dzieci z tego kalectwa, z którym się urodziły, to przecież i te upośledzone istoty dadzą się wykształcić na pożytecznych członków społeczeństwa.

Istniał już szpital-ochrona Dzieciątka Jezus, nie brakowało szkółek kształcących ubogą młodzież, lecz do czasów księdza Falkowskiego nikt nie pomyślał o zaopiekowaniu się biednymi kalekami pozbawionymi mowy i słuchu.

Gdy ksiądz Jakób Falkowski był nauczycielem w Szczuczynie, poznał siedmioletniego Piotra Gąsowskiego, niemowię, nad którego dolą tak się litował, iż postanowił użyć wszelkich środków, aby oświecić jego umysł i wykształcić serce. Z początku szło to bardzo trudno; bywały chwile, że zwątpił czy mu się to uda; ale gdy zwiedził zakłady głuchoniemych w Berlinie i Wiedniu, zastosował do niego używane tam sposoby i z radością dostrzegł, że mały Gąsowski istotnie się rozwija. Po upływie lat kilku nauczył go przy pomocy mowy migowej porozumiewać się ze sobą i główniejszych zasad wiary; a przekonawszy się, że i tych biednych upośledzonych uczyć można, założył w Szczuczynie niewielką szkołkę z trzema wychowancami. Aby zaś rozszerzyć swą działalność, postarał się o przeniesienie jej do Warszawy.

Dla tej szkołki, liczącej zaledwie troje dzieci i ich przełożonego, księdza Falkowskiego, przeznaczono dwie niewielkie izdebki, a również szczupłe były jej fundusze, tak, że zany kapłan częstokroć musiał umniejszać swe najpierwsze po-

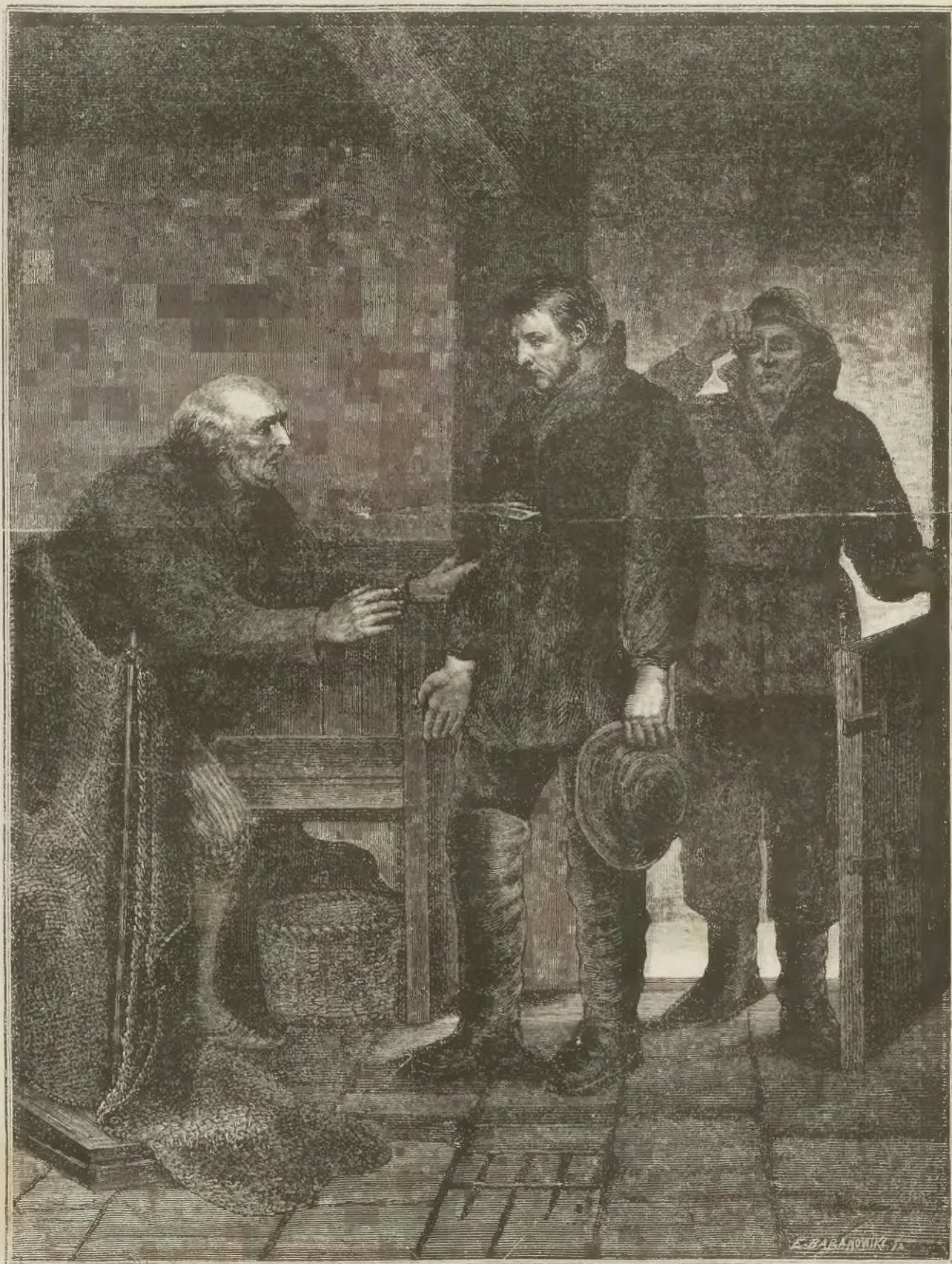
trzeby, aby tylko nakarmić, jak mawiał, biedne swe dzieci.

Jak widzicie, bardzo skromne były początki zakładu, który z czasem dzięki prawdziwie chrześcijańskiej miłości i gorliwości zacnego kapłana zamienił się miał na okazały Instytut głuchoniemych i ociemniałych.

Wobec tego każdy inny byłby się zniechęcił, lecz ksiądz Jakób nie tracił nadziei. Jakoż już w rok później, to jest w roku 1817 szkołkę jego przeniesiono do innego obszerniejszego lokalu, składającego się z siedmiu pokojów, i dodano mu pomocników.



KSIĄDZ JAKÓB FALKOWSKI.



A syn mój, czy wrócił?...

Z każdym miesiącem zgłaszało się coraz więcej rodzi-
ców, błagających o przyjęcie do zakładu dzieci głuchoniem-
nych, a chociaż zacny kapłan nie mógł wszystkim życze-
niom zadosyć uczynić, to wszakże wkrótce liczba uczniów
tak się wzmogła, że trzeba było przenieść zakład do obszer-
niejszego mieszkania w domu Panien Wizytek.

Nie poprzestał na tem zacny kapłan, a dążąc wszyst-
kiemi siłami do tego, iżby szkoła miała własny swój budy-
nek, począł się starać o zebranie na to odpowiednich fundu-
szów i tę miał pociechę, że już w roku 1826 położył kamień
węgielny do budowy na placu Ś-go Aleksandra w Warsza-
wie, w której dziś mieści się Instytut Głuchoniemych
i Ociemniałych.

Aby przyspieszyć budowę, ksiądz Falkowski zrzekł się
jak na owe czasy dosyć znacznej pensji na korzyść Insty-
tutu. Doszedłszy celu swych usiłowań i pragnień całego
życiowego, w roku 1831 usunął się od kierownictwa zakładem,
błogą ciesząc się nadzieją, że wykształceni pod jego okiem
przewodnicy głuchoniemych dalej dzieło jego rozwijać będą.

Pomimo tego, aż do roku 1848, to jest do chwili swego zgo-
nu nie przestał żywo opiekować się Instytutem, którego był
założycielem.

Dziś Instytut wychowuje około trzystu młodzieży głu-
choniemej i ociemniałej, a wszyscy ze czcią wspominają imię
zaczynego kapłana, który umiał taką zaszcześcić miłość ku so-
bie, iż po jego śmierci wychowawcy Instytutu z własnego po-
pędu postanowili składać do wspólnej skarbonki swój grosz
wdowi, przeznaczając go na wystawienie pomnika swojemu
dobroczyncy. Jakoż w roku 1875 z tych skromnych składek
wystawiono pomnik w ogrodzie Instytutu, dla uczczenia pa-
mięci dobroczyncy zakładu. Składa się on z popiersia wiel-
kich rozmiarów wykonanego pod kierunkiem znanego rzeź-
biarza Cenglera, nauczyciela Instytutu, które ustawione zo-
stało na podstawie z balustradą. Na nim widnieje napis:

„Księdzu Jakóbowi Falkowskiemu, założycielowi Insty-
tutu Głuchoniemych i Ociemniałych, ur. 29 kwietnia 1775 r.,
zm. 7 września 1848 r. Wdzięczni głuchoniemi, 1875 r.”

Henryk Wernic.

ZAGINIONY W GROTACH OJCOWA.

(Dalszy ciąg).

Paweł szedł przodem, a raczej biegł, tak szum wichru,
niepewność miejsca i chęć przyjscia z pomocą biednemu
zapłakanemu Grzesiowi podniecała go. Za nim podążali
obaj wieśniacy, wołając naprzemiennie:

— Hop!.. hop!.. Grzes!.. Hop!.. hop!..

Wiatr raz tłumiał ich głosy, tak, że prawie słyszeć ich
nie było, drugi raz porywał i niósł hen, po dolinie, po wąwo-
zach i między skały. Czasami wszyscy na chwilę przysta-
wali w nadziei, że usłyszą znany sobie głos małego pastuszka:

„Jestem... idę!...”

Niestety, wiatr szumiął, Prądnik w dolinie warczał,
chmury coraz groźniejsze napływały, a tak gorąco oczekiwa-
nego głosu małego Grzesia słyszeć nie było.

Z pół godziny szli tak obaj wieśniacy i Paweł, wołając,
na wszystkie strony się rozglądając, pomocy Boskiej wzywa-
jąc, aż nareszcie zmęczeni, zatrzymali się u stóp stromego
urwiska, które zagrodziło im drogę.

— Deszcz padać zaczyna... odezwał się Grzegórz, pod-
nosząc kornierz od kapoty.

— Za chwilę burza się zerwie... mruknął Wawrzyniec.

— Ciemno się zrobiło, że własnej pięści nie widzę...
narzekał Grzegórz.

— Trzeba tu burzę przeczekać, bo dalej iść niepodob-
na... radził Paweł.

— A już cię innej rady niema... odparł stary Wawrzyniec.

Stanęli więc u stóp prostopadłej skały, mając przed so-
bą szumiące drzewa na wyniosłym wzgórzu.

— Gdzie jesteśmy? zapytał Paweł.

— Za Chelmową, panie; gdyby nie burza, wyszli-
byśmy już byli na pola...

— A czy tu bezpiecznie będzie przeczekać burzę?...
Wieśniak w miejsce odpowiedzi posunął się wszerz

ściany i rękami macał, jakby szukając wejścia.

— Ja tę skałę znam, mówił, powinno tu być przejście
do środka, gdzie jest niewielka polanka...

— Polanka?...
— Tak.

Paweł na wzmiankę o polance drgnął, bo naraz stanął
mu w wyobraźni Roch Ostatni. Zamilkł jednak i po omachu
szedł za szukającym przejścia wieśniakiem.

Skała była widocznie dość szeroka, bo dopiero po kil-
kunastu minutach szukający natrafili na otwór.

— Nie będzie nam tu tak dobrze, jakby było w pierw-
szej lepszej grocie, gdzie od deszczu byłibyśmy zupełnie bez-
pieczni, ale przynajmniej od wichru zasłoniemy się, a deszcz
nie dokuczy nam tak bardzo, jak w szczerem polu...

Tymczasem burza rozszalała się tak, że zdawało się, iż
koniec świata nastął. Paweł, który pierwszy raz słuchał gry
burzy w górach, nie mógł zachować zwykłej sobie swobody
umysłu, lecz co chwila wzdrygał się i wołał:

— Ależ to prawdziwy huragan!.. Co za straszna noc!..

Obaj zaś wieśniacy za każdą błyskawicą żegnali się
pokornie i odmawiali „Zdrowaś Marya.”

— Oj! mój biedny Grzesiu!.. mój Grzesiu!.. dawało się
słyszeć niekiedy bolesne westchnienie.

To Grzegórz, niespokojny o syna, tak wzdychał.

— Może on już w domu... Przecież mógł inną drogą
wrócić... pocieszał go Paweł.

— O, jakże bym go chciał znaleźć!.. mówił znowu bie-
dny ojciec.

Ale wszelkie usiłowania w tym względzie okazały się
bezwzględnie, gdyż ciemno było tak, że pewnie ani kroku po-
ruszyć się nie można było.

— Musimy przeczekać burzę, mówił stary Wawrzy-
niec, wpaść w przepaść nie trudno tu i w dzień, a cóż dopiero
w taki czas okropny...

Czekali więc końca burzy, która tymczasem z całą
gwałtownością szalała wśród doliny.

— A jeśli naszego Grzesia i jutro nie będzie w domu?
niepokoił się Grzegórz.

— No, to będziemy go szukali... Przecie on nie szpil-
ka, to się znajdzie... oburknął stary.

— A jeśli gdzie wpadł do groty, albo jeśli go cyganie
porwali?

— E!.. nie pleć byle czego... Baba-żeś, czy co?

Chłopiek umilkł.

— Ale też to burza nadspodziewanie wielka... rzekł
Paweł, macając ręką po gładkiej powierzchni skały, gdyż
pragnął znaleźć jakiegokolwiek-bądź zagłębienie, ażeby się
choćaby trochę uchronić od potoków ulewnego deszczu.

— A wielka! mruknął stary Wawrzyniec, który również
szukał jakiegoś schronienia.

— Ciemno takie, że własnej pięści nie widzę... narzekał Grzegórz, najśmielej posuwający się w głąb skalistych załamów.

— Za mną... powtarzał, za mną, ja to miejsce znam. Zdaje mi się, że jesteśmy blisko Wilczej jamy. Schronimy się tam przed burzą, jakby w piwnicy...

— Czy jesteś tego pewny? zapytał Wawrzyniec.

— Jak najpewniejszy... Zresztą, mój ojciec kocha... ny... zaczął pewnym głosem Grzegórz, lecz nagle urwał.

Posuwający się za nim Paweł i Wawrzyniec również zatrzymali się.

— Wilk... szepnął Grzegórz.

— Nie, nie wilk... odrzekł Wawrzyniec. Ślepie wilcze nigdy się tak nie świecą. To coś innego...

— Cóż więc być może?... Ja najwyraźniej widzę dwa palające płomyki.

Rzeczywiście widać było o kilkanaście kroków dwa płomyki, jakby od dwóch świec zapalonych pochodzące.

— To dziwna rzecz, odezwał się Paweł, którego mowę głuszył wicher i plusk deszczu, jakimże sposobem podczas takiej ulewy może się palić ogień...

— Już ci to dziwna rzecz... mruknął stary Wawrzyniec. Ślepie wilka, albo innego jakiego drapieżnego zwierza nie błyszczałyby tak jasno... To wygląda tak, jakby ktoś dwie świece zapalił...

— Może zły człowiek jaki, zbój może!.. szepnął Grzegórz.

— W takim razie wiatr i deszcz światło-by mu zagasił, którego przedewszystkiem nie miałby najmniejszego powodu zapalać... tłumaczył Paweł.

Uwaga ta wydała się bardzo słuszną, więc na chwilę wszyscy zamilkli.

Stary Wawrzyniec, który był człowiekiem niecierpliwym, wysunął się naprzód i głośno krzyknął:

— Kto tam?... Co to za światło?...

Ale nagły błysk piorunu i huk przerażający zagłuszył jego wołanie.

Widocznie w pobliżu gdzieś piorun uderzył. Przy silnym świetle błyskawic, które co chwila teraz przerywały ciemności burzy i nocy, można było przez sekundę przynajmniej widzieć groźne urwiska skał, wśród których stali poszukujący zaginionego pastuszka. Deszcz ulewny, wicher niepowstrzymany dokuczył im tak, że za jaką-bądź cenę pragnęli schronić się gdziekolwiek-bądź, chociażby nawet do Wilczej jamy. W miarę posuwania się w głąb skał, światła powiększały się. Już nawet można było rozpoznać, że były one zapalone ręką ludzką w jakimś zacisznym miejscu i że wydobywały się przez jakiś otwór w skałach, gdyż w przeciwnym razie wicher i ulewa zgasiłyby je.

— To w Wilczej jamie ktoś światło pali!.. zawołał nagle Grzegórz. Przez szczeliny stamtąd je widać...

— A więc zobaczmy, kto je tam zapalił, rzekł Wawrzyniec, posuwając się szybko w stronę skał stromych.

Szedł naprzód śmiało, a za nim posuwali się Paweł i Grzegórz. Teraz dokładnie widać było dwa otwory, ręką natury w skale utworzone, przez które wydobywały się czerwone promienie światła.

„Dziwna rzecz, kto tam ogień pali?... myślał Paweł, posłępując za starym Wawrzyniecem, który był już blisko owego otworu i właśnie nachylił się, aby zajrzeć do wnętrza, rzęsiście oświetlonego.

Lecz naraz stała się rzecz niewytłomaczona z odważnym, pełnym siły starcem. Oto zaledwie zajrzał do wnętrza, zachwiał się, ręką za czoło się chwycił, a drugą, jakby w największym przerażeniu, przed siebie nerwowo wyciągnął.

— Duch... upiór!.. krzychał przeraźliwie i, odwróciwszy się, jakby jakąś niepojętą siłą pędzony, uciekać począł, krzycząc i jęcząc. Za nim pobiął i Grzegórz, wołając:

— Matko Przenajświętsza... Jezus, Marya!...

Znowu grom błysnął, zagrzmiąło, wicher silniejszy wionął i zanim Paweł ochłonął z niespodzianego wrażenia, już przy nim obydwoh chłopków nie było.

— Zabobonni tchórze!.. szepnął młodzieniec i śmiało zbliżył się do otworu, w którym przed chwilą tak wielce coś niezwykłego ujrział stary Wawrzyniec i syn jego.

— Duch... upiór!.. powtarzał, biedni ludzie, którzy w podobne brednie wierzą...

Stanął przed skałą i skwapliwie zajrzał przez szczelinę do wnętrza rzęsiście oświetlonego.

Spojrzał i szybko odskoczył, jakby niewidzialną siłą odepchnięty. Gdyby kto na niego spojrzał w tej chwili, ujrzałby w oczach jego wielkie zdziwienie i przerażenie.

Opanował się jednak i znowu śmiało zajrzał przez oświetlony otwór, gdzie znajdowało się owo tajemnicze zjawisko, które tak przeraziło jego współtowarzyszy.

I rzeczywiście to, na które patrzył, nie mogłoby być nigdy zaliczone do rzędu zwykłych.

Oto pośrodku niewielkiej pieczary, którą jeden z wieśniaków nazwał Wilczą jamą, palił się suty ogień, smolnym łuczywem podniecany, a przed nim siedział starzec o wyniosłej postawie, z wielkim kijem góralskim w ręku. Długa siwa broda i długie włosy spadały mu w nieładzie na piersi i ramiona. Wzrok zimny, wybladły utkwiony miał w ognisku, jakby go w niem rozgrzać, ożywić usiłował, a cały był tak nieruchomy, jak posąg kamienny.

— Roch Ostatni... to on... szeptał Paweł, w którym odżyła myśl zbadania losów tajemniczego starca.

Ten siedział wciąż tak nieruchomie, że zdawało się, iż nie żyje. Przed nim, z drugiej strony ogniska, stały dwie białe jak śnieg kozy i, przytulone jedna do drugiej, wpatrywały się w tajemniczego starca. Czerwonawe światło ognia igrało po wybladłej i jakby z wosku ulepionej twarzy jego, odbijało się w zimnych przygasłych oczach jego i padało na skaliste ściany groty, wilgotną rosą pokryte. Poza ogniskiem leżały dwa wielkie kamienie, ciemną swą masą przypominające cielska dwóch wielkich niedźwiedzi, a dalej wznosiły się ostre urwiska, na które od czasu do czasu padało to słabsze, to znowu silniejsze światło ognia, i wówczas zdawało się, że w jaskini jakieś postacie się ukrywają, że bądź chwila wyjdą i biada będzie śmialkowi, który ich spokój zakłócił.

Jakkolwiek Paweł nie należał do ludzi bojaźliwych i łatwo się przejmujących, jednakże nie mógł się oprzeć jakiemuś niewytłomaczonemu uczuciu trwogi, które w miarę, jak patrzył na dziwne zjawisko w grocie, coraz to silniej opanowywało jego serce. Wicher zrzucił mu kapelusz z głowy, ulewa przemoczyła go zupełnie, chłód przebiegał po nim, a on schylił się z głową w jasnym otworze groty i patrzył, patrząc...

Wtem wyprostował się, ręką przetarł czoło i oczy, a następnie śmiało posunął się pomiędzy skaliste urwiska, pragnąc dotrzeć do wnętrza jaskini.

Udało mu się to z łatwością, bo z jednej strony było dość wygodne przejście. Lecz gdy właśnie miał przekroczyć wejście do kryjówki, dał się słyszeć syk i trzask, słup iskier i dym buchnął do góry, napełniając sobą wnętrze jaskini, a następnie grobowa ciemność zapanowała dokoła.

— Jezus, Marya! krzyknął młodzieniec i cofnął się przed duszącym go dymem.

Wybiegł z groty szybko, kalecząc ręce o ostre skały i zatrzymał się dopiero, gdy świeżem powietrzem odetchnął. Stał chwil kilka, ciężko oddychając, aż nareszcie uspokoił się nieco. Deszcz ulewny, błyskawice i grzmoty, zdawało się, że nie skończą się nigdy, przeciwnie, że z większą niż dotąd siłą, zawładnęły niebem i ziemią.

Jednakże Paweł nie zwracał uwagi na straszliwą burzę, będąc odurzonym, obezwładnionym tem wszystkim, czego niedawno był świadkiem.

Naraz zerwał się i znowu pobiął między skaliste załamy, szukając między nimi wejścia do tajemniczej kryjówki niezwykłego starca.

Ale jak w baśniach czarodziejskich na skinienie czarownika giną lasy, wody i góry, tak i kryjówka owa przepadła bez śladu. Dym tylko duszący, przez ulewę rozbity, czuć było wkoło; ogniska zaś, starca i kóz jego białych Paweł już znaleźć nie mógł. Błądził więc przez chwilę wśród groźnych urwisk, korzystając z oslepiających błysków piorunów, które właśnie jeden za drugim padały na kamienne szczyty groźnych nieugiętych opok, strzegących uroczej doliny Prądnika.

Wtem zdawało mu się, że coś białego przebiegło tuż obok niego. Spojrzał uważniej i gdy nagle błyskawica sinym światłem oblała okoliczne wzgórza, ujrzał starca, przez wiek pochylonego, z długim kijem góralskim w ręku, tuż niemal przed sobą. Za starcem biegła druga, biała jak śnieg, koza, gdyż pierwsza właśnie dopiero-co przebiegła przodem. Zjawisko trwało zaledwie sekundę, gdyż zniknęło wraz z błyskawicą. Paweł porwał się naprzód, nerwowym, szybkim ruchem wyciągnął ręce przed siebie, pragnąc schwytać tajemniczego starca, lecz naraz poczuł, że czyjeś chłodne, żelaznej siły dłonie, ujęły go za ramiona, tak, że nawet drgnąć nie mógł i naraz tuż nad sobą usłyszał przytłumionym głosem, którego dźwięk niemile go uderzył, następujące wyrazy:

„Śmiałku, strzeż się mnie kiedykolwiek dotykać, bo sam zginiesz....“

Po słowach tych niemiły śmiech hu! ha! ha!... jak głos puszczyka, rozległ się w powietrzu i jednocześnie żelazne dłonie uniosły przerażonego młodzieńca do góry, jakby leciuchne piórko, i następnie opuściły nadół.

Znowu niemiły śmiech rozległ się, lecz już zdala i Paweł poczuł, że jest wolnym.

Przerażony, przemokły, z głową, pełną najdziwniejszych myśli, stał chwilę odważny młodzieniec, nie wiedząc, co z sobą począć.

Tymczasem burza szalała, drzewa szumiały, a po nagich groźnych szczytach okolicznych co chwila, jak ogniste żmije, przebiegały zygzakowato krwawe błyskawice.

Przekonawszy się, że dalsze poszukiwania byłyby bezowocne i czując wielkie znużenie, Paweł z wolna udał się w stronę domostwa Kosów, z trudnością posuwając się naprzód wśród burzliwej ciemnej nocy i nieznanej sobie okolicy.

ROZDZIAŁ V.

Gdyby nie światło, które paliło się w obu izbach domostwa Wawrzyńca Kosa, Paweł z pewnością przez całą ową pamiętną w jego życiu, burzliwą noc byłby się błakał po dolinie Ojcowskiej i okolicznych skałach. Ale owo światło i głos szczekającego głośno Kruczka sprawiły, że już po północy, zziębnięty, przemokły, stanął w progu, niespokojnie oczekującego nań pana Kalasantego.

Staruszek, poleciwszy Jankowi udać się na spoczynek, sam wziął swą małą, na długim, czarnym cybuchu osadzoną fajkę i usiadłszy na krzeselku, palił ją, puszczając w górę raz mniejsze, to znowu większe kółka sinego dymu.

Widocznie, że myśli jego nie były spokojne, bo co chwila wstawał i przykładając twarz do szyb okna, patrzył w cienną, burzliwą przestrzeń nieba i ziemi.

Światło błyskawic i odgłos burzy z taką gwałtownością szalejącej wśród skał i urwisk okolicznych, tu, wśród czterech białych ścian izdebki—małały, milkły.

Pomimo to pan Kalasanty coraz to stawał się niespokojniejszym.

Niepokój ten jeszcze się bardziej wzmógł, gdy naraz na podwórzu przed domem dało się słyszeć głośniejsze niż zwykle szczekanie psa, a po chwili drzwi gwałtownie się otworzyły i w nich ukazał się Paweł. Był blady, bez kapełusza, przemokły i gniewny. Ujrawszy go, staruszek odłożył na bok fajkę i z trwogą zapytał:

— A tobie co się stało?...

Młodzieniec z przymusem uśmiechnął się i, starając się o spokój, odrzekł:

— Eh! nic... przemokłem tylko...

Mówiąc to, unikał wzroku staruszka, jakby go się wstydział.

— Pawełku, co tobie?... zapytał tenże, ale już z wielkiem zaniepokojeniem.

— Zaraz, zaraz opowiem, tylko pierwej przebrać się muszę...

Tymczasem na podwórzu znowu dało się słyszeć głośne ujadanie Kruczka i uspokajający je głos gospodyni domu.

Wkrótce w sieni słyszeć się dały stąpania kilku osób i pan Kalasanty wyszedł dowiedzieć się, co by to miało znaczyć.

— To pewnie stary Wawrzyniec i Grzegorz wracają z wycieczki w góry... mówił Paweł, zmieniając przemokłe ubranie.

— Tak, to oni, potwierdził pan Kalasanty, wracając z sieni, ale sami, bez chłopca... biedni ludzie... trzeba się będzie zająć nimi, pośpieszyć im z pomocą...

— Bez chłopca... powtórzył machinalnie Paweł i biorąc staruszkę za ręce, usiadł wraz z nim na ławce.

— Drogi panie, zaczął, patrząc na niego z synowskimi przywiązaniem, musisz mi dopomóc twym światłem, doświadczonego rozumem do rozwiązania wielce niezwykłych rzeczy.

— Zaciekawiasz mnie... cóż to takiego?... pytał dobrotliwie pan Kalasanty.

Stefan Gębarzski.

(Dalszy ciąg nastąpi).

A syn mój, czy wrócił?...

Ludność Szwecji, Norwegii, Danii, Holandyi i wielu innych państw europejskich, afrykańskich i wreszcie całego świata, żyjąca w pobliżu morza na wybrzeżach skalistych lub piaszczystych, które z natury swojej są nieurodzajne, zmuszoną jest szukać sobie środków do życia na morzu, w którego głębi żyje tysiące gatunków ryb, rosną korale, perły, dobry dające dochód na rynkach zbytu.

Ludność taka, nadmorska, od wieków przywykła uważać bliskie sobie groźne morza i oceany za swoją glebę, za rolę, z której trzeba wyciągnąć środki do życia.

To też, nie zważając na tysiączne niebezpieczeństwa, jakie mu grożą, rybak islandzki lub norweski śmiało na wątlej nieraz łodzi puszcza się na groźne fale morza lub oceanu, żeby zarzucić sieci w miejscu korzystnym, gdzie połów obfitszym będzie.

Śmiałe wyprawy nieraz wielkie przynoszą korzyści, a nieraz kończą się bardzo tragicznie, zwłaszcza wtedy, kiedy są młoda, niedoświadczona kierowane ręką.

Drzeworyt nasz na str. 305 wyobraża właśnie wielce wzruszającą scenę, gdy w chatce starego rybaka stają w milczeniu dwaj inni młodzi rybacy, widocznie dopiero co z wyprawy na morze przybyli.

Stanęli przed starcem z boleścią w sercu, ze łzami w oczach, a on, nie widząc między nimi tego, którego wraz z nimi żegnał, a który tak ochoczo dążył na morze, pytał się zdaje:

— A syn mój, czy wrócił?

Milczenie, straszne milczenie, które tysiące trucizn wlewa w serce biednego ojca, jest odpowiedzią na to pytanie.

Widać z całego zachowania się przybyłych, że ten, o którego stary ojciec pyta, już nigdy nie przestąpi progu rodzinnej chaty, nigdy nie powita go radosnymi słowy:

— Połów dziś obfity, jak nigdy...

Nie, tych radosnych słów nie usłyszy starzec, bo młody rybak spoczął już w głębi słonych fal morskich, na dnie skalistym, w wodorosty i muszle przybranem. Spoczął tam, gdzie już setki podobnych mu spoczęło.